

Fabrice Hadjadj

Raj za drzwiami

Esej o kłopotliwej radości

przełożyła Justyna Nowakowska

Warszawa 2021



JUBILEUSZ
PAŃSTWOWEGO
INSTYTUTU
WYDAWNICZEGO
1946-2021

75

„Uznałem więc – pisze Kartezjusz na początku *Medytacji o filozofii pierwszej* – że powinienem raz w życiu (*semel in vita*) wyzbyć się wszystkich poglądów, które wcześniej zdarzyło mi się przyjąć na wiarę, i – gdybym miał ustalić coś pewnego i trwałego w nauce – rozpocząć całkiem od nowa i od podstaw”². Również i ja raz w życiu chciałbym w końcu podjąć jakiś ważki temat. Zająłbym się na poważnie śmiechem. Nie byle jakim śmiechem, nie wesołym, błazeńskim czy szyderczym, lecz owym śmiechem dziewczyny, która „jasno tak się roześmiała, jak Bóg się śmieje”³. Nie zamykałbym się sam w zacisznej izbie, lecz pisałbym pośród harmidru i wesołości dziecięcych zabaw, które byłyby moim punktem odniesienia. Nie wyzbyłbym się żadnego z poglądów: przyjąłbym je wszystkie, na wiarę. By zacząć wszystko od nowa, od samego końca.

Prawdę mówiąc, nie chodzi o ustalenie czegoś „pewnego i trwałego w nauce”. (Czym jest bowiem nauka, kochanie, skoro ostatecznie ludzki mózg czeka nie tyle poznanie prawdy, ile proces gnilny? Co jest pewne i trwałe, skoro wszystko na tym świecie jest ulotne jak mgła?) Właściwie wypadałoby zapytać, co zostaje, kiedy nie ma już nic... Chodzi zatem o wykrycie w moim niepewnym i nietrwałym sercu pewnej nieuleczalnej wady: naiwnej nadziei, że muzyka spotkań nigdy nie ucichnie. Użyłbym do tego celu bynajmniej nie hiperbolicznego i skrajnego zwątpienia, lecz raczej nie mniej skrajnego i hiperbolicznego oczarowania. O tak, choć raz w życiu chciałbym zastanowić się nad tym, co może być wieczne, wsłuchać się w głos tego raj,

2 Kartezjusz, *Medytacje o filozofii pierwszej*, przeł. Jan Hartman, Aureus, Kraków 2002, s. 33.

3 Dante Alighieri, *Boska komedia*, cz. 3: *Raj*, XXVII, 104–105, przeł. Agnieszka Kuciak, Wydawnictwo AA, Kraków 2006, s. 635.

10 który nas wzywa, by nasze życie, jeśli nie biegnie we właściwym kierunku, zbłądziło należycie olśnione.

 Czy odnajdziemy źródło wiedzy? Raczej źródło śpiewu. Czy będziemy stąpać po twardym gruncie? Raczej będziemy się potykać – lecz kondycja upadku, warto o tym pamiętać, jest taka sama jak kondycja wzlotu. W gruncie rzeczy moje pytanie jest następujące: jaka księga otwiera się głośniejsz od opadającej płyty nagrobnej? Na jaką poetyckość jest miejsce u wezłowania umierającego? Co czeka nas po przekroczeniu granicy, zza której nie da się wrócić, i czym jest koniec świata? Och! To nie będzie lektura ku pocrzepieniu serc, co to, to nie. Pozwoli ci jedynie umrzeć z nieco bardziej rozdziewioną głębią.

Niniejszym autor pragnie poinformować czytelnika, że kiedy nocne niebo przeszył błysk, spod jego pióra wyszło pięćset zapisanych drobnym maczkiem stron. Na pierwszy rzut oka zamiast błyszczącej gwiazdy jest ciężka cegła. Zważywszy, że autor jest bardziej przerażony niż czytelnik (lecz mniej niż jego miła redaktorka, Elsa Rosenberger, która uważa, że dzieło może być długie, o ile nie ma w nim dłużyzn), chciałby uspokoić czytelnika, zapewniając go, że ta okazałych rozmiarów książka jest tak naprawdę zbiorem książeczek. Choć jej rozdziały i interludia układają się w spójną całość, to z powodzeniem można je czytać oddzielnie, jako osobne *opuscula*; czytelnik może się posiłkować spisem treści, aby wybrać tę część, której tematyka szczególnie przykuje jego uwagę.

Niewątpliwie książka, której myślą przewodnią jest to, że raj pozostaje horyzontem nadmiernej płodności, a nie sterylizującym marzeniem, nie mogła być krótka i musiała się wpisać w ten nadmiar. Czytelnik nie musi się z tym papierowym bytem obchodzić jak z relikwią – ta książka jest po to, by służyć, a nie po to, by jej służono. A jeśli przeczyta tylko część, a pozostałe strony wykorzysta do przykrycia stołu, przy którym ugości biedaka, albo zrobi z nich origami, czym wprawi dzieci w zachwyty, to książka ta doskonale wypełni małe zadanie, które wyznaczono jej na tym świecie.

PRELUDIUM

Możliwy próg

Pukanie do drzwi

LEPORELLO: – Ach! Posłuchajcie!

Lorenzo Da Ponte, *Don Giovanni*, akt II, scena 18

Rozmowa – na progu otwartych drzwi lub podczas przypadkowego spotkania na ulicy – zawsze zaczyna się od słów powitania, takich jak „Dzień dobry!”. Nie ma nic bardziej zwyczajnego. Nie ma nic bardziej nadzwyczajnego. W rzeczywistości wypowiadamy te słowa dwukrotnie: za pierwszym razem jako odruch, za drugim jako obietnicę. Są nie tyle wymawiane, ile samoistnie wprawiają się w ruch niczym trybik maszyny społecznej i – jednocześnie – podmuch przyrzeczenia, nie tyle coś wyrażają, ile coś znaczą. Dopóki się nad nimi nie zastanawiam, dopóty są zwyczajnymi słowami, które puszczam mimo uszu. Wystarczy jednak, że wsłucham się w nie przez chwilę, a przyprowadzą mnie o nagły zawrót głowy.

Na jednej ze stron *Sodomy i Gomory* Proust opisuje wyraźną obecność wewnętrznego głosu, który podpowiada bohaterowi odpowiedni gest, gdy u księżnej de Montmorency musi przywitać księcia de Guermantes i towarzyszącą mu królową Anglii: „Gdybym napisał arcydzieło, mniej by mnie ono podniosło w oczach Guermantów niż ten ukłon”¹. Jakże jeden ukłon mógłby być większym dokonaniem niż *W poszukiwaniu straconego czasu*? Stosowność ulotnego powitania byłaby większym uznaniem niż ten pomnik literatury? Taka obsesja na punkcie decorum, której bohater nie omieszka zauważyć, potwierdza nieodwracalny upadek arystokracji. Lecz takie spostrzeżenie potwierdziłoby nasz własny upadek, gdybyśmy za jego sprawą przestali przykładać wagę do ceregieli.

1 Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, t. 4: *Sodoma i Gomora*, przeł. Tadeusz Żeleński (Boy), Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1992, s. 63–64.

16 Ceregiele bowiem, nawet te zbędne, są nośnikami sensu, który najpiękniejsze dzieło jedynie wyraża. Czyż impulsem do wielkiej przeprawy Dantego nie było zwyczajne pozdrowienie, którym Beatrycze Portinari obdarowała go pewnego południa 1278 roku? Zdarzyło się to o trzeciej po południu na jednej z florenckich ulic: „Pozdrowiła mię tak przejmująco, że zdało mi się wówczas oglądać ostatnie granice szczęśliwości”². Tak, ot zwyczajne pozdrowienie i oto zaczyna się „Nowe życie”, a raj nie jest już tak odległy. Jakież to słowo wypowiedziała Beatrycze? Jakże wyjątkowy ukłon złożyła? Jakże subtelnie spuściła powieki? Nie w tym rzecz. Owa anegdota prowadzi nas daleko poza prozaiczną sztukę pozdrawiania, do metafizyki zbawienia. Wystarczyło, by młoda piękność wypowiedziała jedno zwyczajne słowo, a zwykły człowiek usłyszał niesłychaną obietnicę: wreszcie nastał dobry dzień, szczęśliwy dzień, pojawiło się to bezkresne światło, które przywołujemy na progu każdego spotkania i które jest ni mniej, ni więcej tylko „ostatnimi granicami szczęśliwości”, odnalezioną wiecznością i odzyskaniem utraconego czasu...

Niektórzy ludzie uprawiają bezwiednie prozę, lecz my wszyscy uprawiamy, całkiem nieświadomie, eschatologię. Nieświadomość wkłada nam w usta tę modlitwę, która wymyka się wszelkiej cenzurze. Pomimo mojej niewiary zanoszę to początkowe wołanie, poprzedzam świecką pogawędkę introitem³, mimowolnie celebрую zgodnie z powszechnym obrzędkiem: wypowiadam *Dzień dobry*, jak ktoś, kto przyszedłby mimo drzwi zamkniętych

2 Dante Alighieri, *Życie nowe*, III, przeł. Edward Porębowicz, oficyna Samuela Tyszkiewicza, Florencja 1934, s. 2.

3 Introit - w liturgii chrześcijańskiej: antyfony na początku mszy (przyp. tłum.).

i powiedziałyby: *Pokój z wami!* A następujący po tych słowach uścisk, echo ponownego spotkania braci lub powrotu syna marnotrawnego, jest milczącą, cielesną zapowiedzią. Nawet powściągliwy uścisk dłoni. Oczywiście niektórzy miażdżą nam dłoń, inni wkładają do niej coś na kształt śniętej ryby; tymczasem prawdziwy uścisk dłoni polega na wyczuciu – jedna dłoń delikatnie naciska na drugą, aż do zrównoważenia sił nacisku, jak w kluczu sklepienia: to ściśnięcie, które nie jest próbą stłamszenia, lecz wyrazem troski, aktywnej wrażliwości, która przeciwstawia się biernej miękkości, niczym w strugarce poprzecznej. Czyż nie jest to obietnica chwili, w której jeden nie przewyższa drugiego, lecz przyjmuje go takim, jaki jest, nie zniekształcając go; czyż nie jest to swoista prefiguracja Dnia Pojednania? Wreszcie, słowa wymawiane w momencie rozstania są nie mniej przesadne niż te padające w chwili spotkania: „Do widzenia. Szerokiej drogi”, słowa, które mówimy sobie już na progu i które po raz kolejny dają nam nadzieję na szczerą skruchę (powrót do dobra), a także na spotkanie w odnowionej wizji. I nie mówię tu o ostentacyjnym „Żegnam”.

Bez wątpienia nie pojmujemy znaczenia słów, które tak wyraźnie wypowiadamy. Skąd się to bierze, że po tak wielu rzeziach nasze usta wciąż uparcie powtarzają „Dzień dobry” i „Szalom”, choć już od dawna stosowniejszym sformułowaniem byłoby „Dzień zły” lub „Miłego mroku”, „Potępiony” zamiast „Pochwalony”, „W niebyt” zamiast „Z Bogiem” itd. Zamiast tego kroczymy dalej utartymi ścieżkami, podtrzymujemy pustą konwencję i życiową iluzję. Jednak iluzję tak żywotną i – prawdę mówiąc – tak trwałą, że nawet gdybym chciał zmyć ją z siebie jak płamę, to musiałbym się raczej pozbyć moich dłoni. Czym jest w tej katastrofie ta zawsze wschodząca jutrzeńka? Czym jest

18 na pustyni ten miraż bardziej orzeźwiający niż sama oaza (miraż tak orzeźwiający, że bez niego nawet woda nie ugasiłaby mojego pragnienia, ponieważ w ostatecznym rozrachunku i tak pozostałby po mnie suchy wiór)?

Zdumiewające jest to [mówi Bóg].

Że te biedne dzieci widzą, jak to wszystko się dzieje, i że wierzą, że jutro lepiej będzie się działo.

Że widzą, jak to się dzieje dzisiaj, i wierzą, że jutro rano będzie lepiej⁴.

Zwykły człowiek jest wyrocznią. Żałosny – mówi głośniej niż Pytia. Zatrwożony – widzi więcej niż Sybilla. Tylko dlatego, że mówi „dzień dobry”. Albo „cześć”. Tutaj, na progu rozmowy, na samym początku być może nudnego wieczoru. Tymczasem tym słowem już na wstępie przynosi nas na brzeg nieprawdopodobnego, na skraj nieoczekiwanego. To tylko próg, możliwy próg raj...

W ten sposób ponawiamy obietnicę wyrażoną w niezliczonych „dzień dobry”, wypowiedzianych zawsze i wszędzie, od pierwszego dnia, a ci, którzy przyjdą po nas, będą ją powtarzać aż do tego niewiarygodnego dnia, kiedy ta niemożliwa do spełnienia, a jednak odwiecznie powtarzana obietnica w końcu obróci się w proch lub spełni za sprawą jakiegoś boga. Na myśl przychodzą te wersety z Księgi Powtórzonego Prawa: *Polecenie to bowiem, które ja ci dzisiaj daję, nie przekracza twych możliwości i nie jest poza twoim zasięgiem [...] Słowo to bowiem jest bardzo blisko ciebie: w twych ustach i w twoim sercu, byś je mógł wypełnić* (Pwt 30,11-14). Przykazanie – dane nam dzisiaj, a nie

⁴ Charles Péguy, *Przedsionek tajemnicy drugiej cnoty*, przeł. Leon Zaręba, Wydawnictwo Karmelitów Bosych, Kraków 2007, s. 35.

wczoraj – kryje się pod najbardziej oklepanym frazesem i wzywa nas swoim własnym językiem. Nie czekajmy na wezwanie z innego świata. On już tu jest, kryje się w tym, co ślina przynosi nam na język. Zwraca się do nas tak, jak my zwracamy się do naszego bliźniego. I aby wciągnąć nas w swoją przygodę, prosi tylko o jedno: żebyśmy raz w życiu, tylko raz – jak Dante (który wcześniej nazywał się Durante, jak człowiek z ludu) – lecz raz a dobrze wsłuchali się w „dzień dobry”, które pada codziennie i którego powierchowność pokrywa się z naszym najgłębszym dążeniem.

19

Por Pascala

Mówią, że nadzieja trzyma przy życiu. To pragnienie wielkiego dnia jest jednak zbyt piękne, by było prawdziwe. Czyż to nie tylko butne i nadęte słowa tego, który spuszcza z tonu, stając twarzą w twarz ze śmiercią? Powiem więc przekornie: nadzieja też zabija. A cynik musi się przyznać do tchórzostwa, które maskuje buńczucznością. Bez tej cholernej potrzeby Edenu nasze życie płynęłoby spokojnie. Mógłbyśmy egzystować z pyskiem w korycie, z zadowoleniem świni i niewinnością rekina. Mógłbyśmy umrzeć bez lęku – a nawet w ekstazie! – niczym pożarty przez modliszkę samiec albo nieświadoma zagrożenia ropucha rozjechana na drodze. Tymczasem odczuwam to paskudne pragnienie konkretnego szczęścia, ten rajski popęd, to *libido cæli*, które nie pozwala mi się cieszyć tym, co mam, i sprawia, że gnam z pochyloną głową ku najbliższej ścianie wyglądającej na wyjście awaryjne. Wpadamy w rozpacz przede wszystkim dlatego, że mamy w sobie tę nadzieję. To właśnie z powodu tego pragnienia szczęścia jesteśmy tacy nieszczęśliwi. Bez niego – jak mówi Pascal – człowiek

20 nie zaciskałby sobie pętli na szyi: noc jest straszliwa tylko wtedy, gdy patrzymy na nią przez pryzmat „dobrego dnia”, w który uwierzyliśmy, a przekonanie, że unicestwimy ją, unicestwiając samych siebie, jest wciąż niezdarnym dążeniem do świtu.

Z naszego wyobrażenia rajy już teraz wyłania się nieodzowny paradoks i niewykluczona parodia. Wyobrażenie rajy jest paradoksalne z więcej niż jednego powodu, jeszcze się o tym przekonamy, lecz przede wszystkim dlatego, że zadaje nam ból i może nam zgotować piekło. Ukształtowało nas, więc z tym większym trudem godzimy się na naszą cierpiętniczą, doczesną kondycję (brak perspektywy rajy byłby dla ludu prawdziwym opium) i jeszcze bardziej spieramy o to, jak mógłby wyglądać (Marks i Maryja wyobrażają go sobie zupełnie inaczej). Ludzie zawsze walczą ze sobą w imię szczęścia i zawsze dokonują masakr w imię braterstwa. Po obu stronach barykady rozbrzmiewają takie same hasła („Sprawiedliwość!”, „Pokój!”, „Cnota!”, „Wielki Wieczór⁵ przed Dobrym Dniem!”), ale z racji tego, że każda strona rozumie je inaczej, dobrodzieje sobie złorzeczą, bracia się mordują, a twórcy pokoju budują na kościach. Czy mamy zrezygnować z poszukiwania „prawdziwego rajy”? Zadowolić się postulatem małego, przenośnego rajy, tylko dla siebie, ewentualnie dla siebie i psa? To dałoby wolną rękę wszelkim fałszerzom. Każdy sprzedałby swoją duszę pierwszemu lepszemu kuglarzowi. Być może nie spieralibyśmy się już ze sobą, bo nie byłoby o co, każdy żyłby w swojej własnej bańce, nie myśląc o bliźnim.

5 *Le Grand Soir* – wyrażenie, które weszło do francuskiego języka potocznego, oznaczające wieczór spełnionych nadziei, przewrót społeczny – nawiązujące do rewolucyjnych idei głoszonych pod koniec XIX wieku (przyp. tłum.).